

GWIAZDA.

**Tygodnik poświęcony naszym sprawom
ekonomicznym, nauce i literaturze.
Wychodzi co sobota.**

Modl się i pracuj.

Cena rocznie w miejscu
5 złr. — na prowincyi
5 złr. 50 ct. — półrocznie
w miejscu 2 złr. 50 ct. —
na prowincyi 2 złr. 75 ct. —
kwartalnie 1 złr. 25 ct. —
na prowincyi 1 złr. 40 ct.
— w ziemiach wcielonych
do państwa niemieckiego
rocznie marek 12, — pół-
rocznie 6, — kwartalnie 3.
— W państwach innych
podług kursu monety cena
miejscowa i koszt pocztowy.

Pojedynczy numer ko-
sztuje 10 cent.

Roklamacje nie opieczę-
towane nie ulegają opłacie.

Prenumeratę przyjmuje
Redakcyja i Administracyja
w drukarni Wł. Angelusa
w Tarnowie.

Inseraty przyjmuje dru-
karnia Wł. Angelusa po
5 ct. od wiersza drobnego
druku. —

KALENDARZ: 1 S. Albina Biskupa
2 N. E. I. Wstęp. Symp. i Hel.
3 P. Kunegundy

4 W. Kazimierza Królewicz.
5 S. Suchedni Fryd. opat.
6 C. Suchedni Kolety Panny

7 P. Suchedni Tom. z Akwin.
8 S. Jana Boż. w. i Beaty Pau.

**Upraszamy o odnowienie przed-
płaty i wyrównanie zaległości.**

**Upraszamy miejscowych P. T.
abonentów, ażeby raczyli co nie-
dzielę rano przysyłać sobie po
„Gwiazdę“ do administracyi obok
kościola.**

O pracy człowieka

w gałęzi handlowej.

Pomiędzy licznymi zajęciami, człowieka, o
jakich już mieliśmy sposobność przemawiać, nie-
poślednie miejsce zajmuje handel, który, jak widzimy
dostarcza nie tylko wyżywienia, ale i szybkiego
dorobku większych majątków całemu społeczeństwu
krajom i narodom, jakich mamy przykłady na
Anglii, Hollandyi, a nawet na naszych Izraelitach.
I nasza Polska posiadała rozległe stosunki handlo-
we prawie z wszelkimi krajami Europy a nawet
i z Azją, to też mieliśmy mieszczaństwo tak bo-
gate, że niektórzy jak Wierzynek, Cesarzy i Kró-
lów w swych domach z całą okazałością blasku
i przepychu podejmowali. Zupełnie inaczej wyglą-
dały też te nasze miasta i miasteczka, w których
jakby na zaklęcie rosła ludność podczas jarmarków
do rozmiarów niepodobnych do uwierzenia. Któżby
z nas uwierzył, że w tej dziś opuszczonej Dąbro-
wie schodzili się ludy wszech języków Europy jak
Niemcy, Hollendrzy, Francuzi, Hiszpanie, Włosi,
Węgrzy, Dończy, Szwedzi a nawet Turcy i

Arabowie, a jednak tak było rzeczywiście, gdyż
sami na to patrzeliśmy jeszcze dzieckiem będąc
w latach 1834tem, 1835tem, i następnych. A choć
to już były jak nam wiadomo, ostatnie podrygi
dawniej świetności jarmarków dąbrowskich, przecież
jeszcze i w tych latach nie można się było dość
napatrzeć owęj pstrokaciźnie strojów przeróżnych
graików, linoskoków, kuglarzy — dojeżdżaczy ta-
bunnych koni itp. innych indywiduów.

Nie mniejszy, choć nie tak głośny i świetny
panował ruch i na południu naszej krainy, gdzie
handel płócien, zboża i innych produktów odbywał
się na taką skalę a stosunki były tak rozległe,
iż nadawały miastu Gorlicom miano małego Gdań-
ska, a okolicy bogactw bez miary, tak że niemal
u każdego włościanina, mimo że musiał odrabiać
pańszczyznę, i dawać daniny, mogłeś napotkać
dwa, trzy, cztery do sześciu a nawet wyżej bo do
ośmiu i dziesięciu tysięcy złotych reńskich w go-
towiźnie. A gdy znowu po Wiśle spławiano nieprze-
liczone roje galarów, berlinek i tratw ze zbożem,
drzewem i solą ku Gdańskowi, to szlakiem od
Krakowa na Lwów szły nieprzeliczone wozy z ro-
zlicznymi produktami na wschód, przywożąc napo-
wrot bogate wyroby perskich kobierców, litych
pasów, chustek bagdackich, szali itp.

Iluż to ludzi żyło z takiego handlu, ile ma-
jątków dorocznie przybywało? A dziś? dziś głucho
i pusto po wszystkich przestrzeniach i zakątkach
kraj, jak gdyby dawni ludzie wymarli nie po-
zostawili po sobie żadnego pokolenia.

Cóż to jest powodem tej ciszy spytacie? O
to brak handlu i brak stosunków z ościennymi
ludami. A jakkolwiek nasz handel znacznie ucier-
piał przez wojny i napady Tatarów, Szwedów i
innych nam zazdrosnych ludów; to jednakowoż nie

tak bardzo nie zabiło tego naszego handlu, jak my sami, którzyśmy się dali drugim ubiedz własną nieporadnością, zazdrością, pogardą dla osób trudniących się handlem, tak dalece, że dziś cały handel spoczął w ręku braci izraelitów, którzy nie dbając na żadne szykany, wyręczali nas w handlu i przykuli do pewnych stron i ludów, sami zdobywając szybko wielkie majątki, a tem samem zubożając kraj wywozem grosza za granicę i to za wyroby podejrzanej wartości i gatunku, do czego nie bylibyśmy doszli, gdybyśmy nie byli puścili z rąk naszych handlu — nawet i izraelici nie byliby jak dotąd tworzyli gminy w gminie, boby się byli musieli znami łączyć — jednak nie trzeba było gardzić ani łokciem, ani garncem, ani funtem jak to bywało, — i co nas zupełnie zubożyło.

W prawdzie obudziła i nas bieda w ostatnich czasach z letargu gnuśności i poczęliśmy oglądać się na tylne koła naszego próżnego rydwanu, poczęły tworzyć się Banki, kasy oszczędności, kasy zaliczkowe, domy komisowe, a nawet i jeliśmy się handlu, ale i ten spostrzegać się dający ruch ku dobremu paralizują ludzie złej wiary, lub zazdrości, aby zabić to życie, które dopiero pierwszym technieniem swoją bytność ujawniło.

A przecież powinniśmy się oglądnąć, że handel, to ważna gałąź w zatrudnieniu, czyli pracy człowieka, powinniśmy pojąć, że ze wzrostem handlu przebywać będą miejsca świeże dla naszej młodzieży, której obecnie nie mamy gdzie pomieścić i nie mamy czem zatrudnić.

Niechże też zatem i handel nie ujdzie naszej czujnej bacznosci, wspierajmy każdy zawizek jego silnem poparciem u drugich, łączmy się w małe kółka, niepytając czy ten z którym się mamy łączyć jest dobrze urodzony, żyd, czy chrześcianin, byle tylko dał gwarancję, że jest człowiekiem pracy i uczciwości. Przedewszystkiem jednak niechcimy się zubożyć w jednej chwili, bo nie odrazu Kraków zbudowano, lecz starajmy się cenami przystępnymi, rzetelnym doborem towarów, miarą i wagą jednać sobie kupującą publiczność a choćbyśmy od jednego grosza zaczęli byleśmy zaczęli i wytrwali w rozpoczętej pracy, a niezawodnie powróci dawny ruch, dawny nasz narodowy handel i dawna nasza stara zamożność, a przedewszystkiem stworzymy lepszy podział pracy i dla naszej młodzieży łatwiejszy sposób znalezienia stosownego zajęcia.

Trzydziestoletni jubileusz

w zawodzie nauczycielskim

dyrektora p. Trzaskowskiego.

Ciąg dalszy

Prof. Habura wnosi zdrowie stanu Sędziowskiego w ręce JWgo Prezydenta Sądu Zawadzkiego. Następnie zabrał głos Radca Sądu krajowego Wyższego Prokurator państwa p. *Czyszczan* i rzekł:

Pozwólcie Panowie, jako jednemu z najstarszych uczniów wnieść toast. Dla mnie drogocenną jest styczliwość, jaką okazują nauczyciele swym uczniom. Z dumą podnoszę że należą *Czyszczan, Sptawski, Dancki* do ucni Jubilata. Pamiętam Was przeto starzy nauczyciele, od których nauczyliśmy się obyczajów surowych i zdrowych uczuć moralnych.

Nie wątpię przeto, że jestem wyrazem przekonania i najżywszych uczuć wszystkich rodziców, których synowie kształcą się w szkołach. Jeżeli wychylę kielich na cześć pomyślności i zdrowie nauczycieli.

Vivat nauczyciele zaintonowało zgromadzenie słowem szanownego mowcy, którego tonu od serca idącego pełnego pięknej prostoty a przejętego prawdziwością uczuć i do przekonania trafiającego niestety oddać nie możemy.

Toast jaki następnie nastąpił, a który wniósł p. Adwokat Dr. *Stojalowski* w charakterze Viceprezesa Towarzystwa pedagogicznego, był właściwie czemś więcej jak prostym toastem. Szanowny Mecenaz podjął się zadania zaiste trudnego, w mowie okolicznościowej przedstawić całą pełnię prac jubilata w rozmaitych kierunkach, szkolnictwa podjętych. Z zadania tego wy-czerpał się Szanowny mowca bardzo szczęśliwie.

Wspomniawszy że obok ogromnej inicjatywy Szanowny Jubilat posiada cnotę nierównie trudniejszą, bo niezmordowaną wytrwałość, wskazał pokrótce co zdziałał Trzaskowski po za ramami swego urzędu, po za murami szkolnymi, nie z obowiązku ale powodowany szlachetną ambicją służenia krajowi. Oto był Trzaskowski dłuższy czas redaktorem czasopisma „Szkoły.” W Tarnowie gdzie zastał młodzieńczą szkołę żeńską dwuklasową, staraniem swém zrzucił tyle że szkoła ta zamienioną została w szkołę wyższą, przyczem Szanowny mowca starał się wykazać że szkoła Urszulanek, nie jest wcale zakładem robiącym konkurencję gimnazjum żeńskiemu, *) że przedmieściowa w tym kierunku obawy są płonne ale że gimnazjum żeńskie cieszące się subwencją Rady miejskiej i Sejmu krajowego ma wszelkie warunki powodzenia. Szanownemu Jubilatowi zawdzięczamy założenie szkoły gimnastycznej, powstanie szkoły niedzielnej dla służ. udzielenie nauki więźniom w tutejszym zakładzie karnym. Dziełem Jubilata jest dalej założenie towarzystwa pedagogicznego, kierowanie oddziałem tarnowskim od lat kilku wykonywane z najlepszym powodzeniem.

*) O przedmiocie tym, który dziś żywo zajmuje umysły naszej Rady gminnej napiszemy w następnym numerze.

Wspominał dalej Szanowny mówca o odczytach jakie miewał Jubilat we Lwowie i innych miastach naszego kraju — tudzież o udziale onegoż przy wszystkich uroczystościach publicznych w celach narodowych urządzanych.

Wiedza, zakonkludował Dr. Stojałowski, jest potęgą, kto ją potęguje, ten potęguje siły narodu, a kto pomnaża zasoby moralne narodu o tem można powiedzieć, że się ojczyźnie dobrze zasłużył. Szanowny mówca zakończył swe przemówienie pełne treści i trafnych bardzo uwag, toastem na cześć władz autonomicznych, które bądźto jako rady powiatowe, rady miejskie, rady szkolne, wielkie okolo podniesienia oświaty położyły zasługi, Toast ten wniósł w ręce przedstawiciela Władz autonomicznych, marszałka sąsiedniego powiatu i posła na Sejm krajowy Wgo Męcińskiego,

Ojcowska Wola,

ustęp powieściowy z życia górali tatrzańskich,

przez

Michała Bałuckiego.

Ciąg dalszy.

Paweł za wychodzącą rzucił oczami, co także nie uszło uwagi starego.

Gdy wyszła, Marcin się odezwał:

— Zanim poczniemy radzić o twoim losie, powiem ci coś o naszym rodzie. Widzisz mój synu rody mają swoje dzieje, swoje posłannictwo, którego spełnienie brały sobie za święty obowiązek. Który ród od swego posłannictwa odstępował, zmarniał i niszczał, i lepiej wymrzeć takiemu rodowi, niż czynić hańbę przodkom. Tobie dziwnie się wydawać musi, że prosty góral mówi o zacności rodu; w mieście rozśmieliby się pewnie z tego, a przecież tak jest: i u nas są rody stare, zdawna osiadłe. Kiedy całe Podhala szumiały lasami, osiadły tu one, przywilejem królewskim wolne od wielu uciążliwości poddańczych, na dużych obszarach, które do dziś dnia noszą ich nazwę. Ale starodawność nie była jedyną ich zaletą: który nie umiał sobie zjednać poważania rozsądkiem, cnotliwem życiem, zacnością, taki ginął i przepadał. Niektóre przeniosły się do miast i miasteczek i przepadły w mieszczaństwie, i stało się, że teraz tych rodów niewiele, na palcach policzyćby je można; lecz co zostało, to godne, i uszanowanie dla nich w gromadzie szczególne. Na ich niegłośne czyny nie ma miejsca w historii, ale jest w sercach ludzkich. I nasz ród liczy się do bardzo starych, od niego do dziś dnia bór i stawy za rzeką zowią się „Tatarowem zalesiem“ i popytaj na kilka mil o Tata-

rach, to i najgorszy człowiek źle o nich nie powie. A czy wiesz czém ród nasz tak wysoko stanął w poważaniu, może wyżej nad inne? Bo do starych cnót przydał jeszcze jeden obowiązek, który wypełniał święcie i testamentem sobie przykazywał. Ten nowy nasz żywot poczyną się od mego dziada, a twego pradziada, Jana Tatary.

Paweł utonął cały w opowiadaniu ojca. Milczące usta starca nieczęsto odmykały się na dłuższą rozmowę, to też każde słowo jego było ważnem dla syna. Pierwszy to raz dzisiaj odzywał się stary do niego jak do dojrzalego młodzieńca, tonem poufnym, mówił mu o rzeczach, o których od nikogo nie słyszał. On znał życie góralskie po wierzchu: dziś słowa ojca rozwarły przed nim głębinę tego życia; patrzył więc w nie jak w ciemną studnię, z pewną trwogą, ale z zajęciem i czcią zarazem.

Marcin tymczasem podniósł się z ławy, rozsunął okratkowane zasuwki u szafy i dobył z górnej półki starą książkę do nabożeństwa, poczerśniałą od starości i częstego używania, otworzył ją i odczytując przez okulary jakieś zapiski na wewnętrznej stronie okładki, zdawał się coś przypominać sobie, a potem pokazał ją synowi i rzekł:

— Widzisz tych kilka wierszy, to cały pamiętnik trzech pokoleń naszego rodu. Ledwie kilka dat ważniejszych, resztę dopowiedzieli o nich. Czytaj.

Paweł wziął książkę do ręki. W kilku wierszach znać było różną rękę i różne czasy. U góry wyblakłym i rdzawym atramentem stały dość niekształtnie wypisane okrągłym charakterem te słowa:

„Roku Pańskiego 1772 powróciłem szczęśliwie do domu, w pierwszą niedzielę po W. W. Świętych, za co niech będą dzięki Bogu Najwyższemu.“

„R. P. 1780 w pierwszy wtorek adwentowy dał mi Pan Bóg syna Jędrzeja, z matki Katarzyny z Krzeptowskich. W kumy przyszli Mateusz Gewont z Teklą Kalecianką. Chrzcił ksiądz proboszcz z Nowegotargu.“

Potem był ustęp mały, po którym stał ostatni zapiszek, drżącą ręką skreślony:

„Marcin Jakób Tatara urodził się w listopadzie, na trzy dni przed św. Marcinem r. 1803, po wielkiej powodzi. Szczęść mu Panie Boże!“

— To pisał mój ojciec, już ciężką chorobą złożony, rzekł wzruszony Marcin. To wszystko, co przodkowie nasi powiedzieli o sobie; ale niema tu najważniejszych czynów, ani ich cnót, co jak złota nić snuły się przez szarą przedzę życia. Pokora i skromność nie pozwalały im tego pisać, ale każdy zapisywał te cnoty jak powinność w serce syna i kazał mu je chować jak relikwie, i dzięki

Bogu, dotąd nie zaginęły. Ty jesteś ostatni naszego rodu, skarb więc ten i tę relikwią tobie powierzyć trzeba; wstrzymywałem się zaś aż do tego czasu, bo chciałem mówić nie do dziecka, jeno do rozumnego człowieka.

Tu złożył Marcin okulary na stole i tak dalej mówić zaczął:

— Kiedy stare lasy przetrzebiono, drogi wyrównano, nasze Podhale przejrzało na świat, a ciekawsi zaglądali do Krakowa, wtedy ojciec mojego dziadka oddał syna do szkół tamtejszych. Był to pierwszy przykład we wsi. Stary roś synowi Bóg wie jaką przyszłość w księżym stanie, bo tylko w tym stanie mógł wtedy prostak wyjść wysoko i zasiąść między panami. Ale dziad mój nie miał wcale ochoty nawet do infuły i pastorała, a że w szkołach poterano góralskiego syna, więc mu i szkoły i miasto obmierzły i stęsknił się za górami. Młodemu zachciało się wojaczki, ale że nie szlachecki syn, więc musiał sobie znaleźć towarzysza herbowego. Gorąco nieraz musiało być koło niego, kiedy wróciwszy do domu napisał: „że Pan Bóg pozwolił mu szczęśliwie powrócić.“ Już drugi raz to szczęście się nie powtórzyło: poszedł i zginął. Ale nie o tem chciałem mówić. Otóż po skończonej wojnie powrócił w góry, a z nim przyciągnęło tu jeszcze kilku byłych żołnierzy, by w ustroniu dokołatać resztek życia po pustelniczemu. Tak jeden osiadł w Łopusznie, inni koło Czorsztyna, jeden w Szaflarach, gdzie do dziś dnia została po nim pamiątka. Sad i domek przekazany na kościół po jego śmierci. Dziad mój, osiadłszy na ojcowiznie, stał się prawdziwym dobrodziejem gminy, jako człowiek piśmienny, bywały w świecie i mający związki z miastem. Dom jego stanął wnet jakby świeca na świeczniku: on spory rozstrzygał, on prośby pisywał, listy wysyłał do tych, których wzięto w rekruty, książki sprowadzał, zdolniejszych chłopców wywoził do miasta do szkół, tam ich umieszczał tanio, zaprowadził ulepszenia w gospodarstwie, w budowie domów i tysiące innych czynił rzeczy. Za jego wpływem i staraniem wioska powoli się odmieniała na dobre; ułatwione stosunki z miastem podniosły dobry byt górali przez korzystną sprzedaż produktów; chaty porządnie się zabudowały; dzieci wzięły się do nauki. I tego wszystkiego dokazał bez długich kazań i morałów, jeno najwięcej przykładem i poufną radą. Ale jeżeli wieśniacy dziękowali Bogu, że im dał takiego pomocnika i sąsiada, to niemniej i on czuł się szczęśliwym. Tam na świecie góral prosty przepadł wśród panów, zniknął, i pracy jego znać nie było, a tu jego niezbyt wielka nauka tyle dobrego zrobiła. Tam nie nie stracono, że on ubył, a tutaj tyle zyskała gromada. Przekonał się, że we wsi potrzebny jest zawsze człowiek z nauką i to koniecznie swój, bo obcy

budzi niedowierzenie i tylko chłop może wielki wpływ wywierać na chłopów. Z drugiej strony znowu widział ze smutkiem, że co który młody poszedł do szkół i chlipnął nieco nauki, już do wsi wrócić nie chciał, ale rękami i nogami drapał się coraz wyżej, pchał się na miejsca przepełnione ludźmi naukowymi, a rodzinna wioska żadnego nie miała pożytku z takiego człowieka. Smutno mu się więc zrobiło, kiedy pomyślał że po nim nie będzie komu wziąć się do tego, że jego praca zmarnieje i za kilkanaście lat znać jej nie będzie, że oświata jego sąsiadów, choć się nie cofnie, to nie postąpi naprzód. W tym czasie ożenił się i wtedy ślubował na kalfaryjskim odpuszcie, że jeżeli mu Pan Bóg da syna, to go tak wychowa, aby z niego nie kto inny jeno rodzinna wioska miała pomoc i pożytek. Roku 1780, jak stoi w książce, narodził się mój ojciec i jego wychowanie było już pokierowane według tej myśli, a kiedy odchodził stary na wojnę, zostawił syna pod opieką brata swego i w testamencie zakładał go, by nie przeniewierzył się woli ojca, która i jemu i gromadzie na szczęście i pożytek wyjdzie.

(C. d. n.)

Karnawał.

W karnawale	Zachęcają,
Częste bale,	Przychwalają
Imieniny,	Swe towary,
Nawet chrzciny.	Nowe, stare:
I herbata	Organtyny,
Nie bogata,	Muszeliny
Tańczące	Wehy, mule,
Nóg tysiące.	Tybet, tiule,
Tną chopaki	Popeliny,
Aż chodaki	Brukseliny,
Czy kozłowe,	Tarlatany
Czy juchtowe	I baryże,
Popekają	Aksamity
I znać dają	I wellity
Że na cechy	Batyst écru
Czas uciechy,	A drań do krwi —
A szewczyki	Ryps, alpaki
I krawczyki	I ómnia baki —
Się zwijają,	Lustry, mory
Bo zysk mają.	Ich kolory...
I kupczyki	Gorsseciki
Jak pręciki	I buciki
Za ładami,	Rękawiczki
Za kramami	I staniczki,
Towar znoszą,	I cwikiery
Gości proszą	I lakiery

I podwiązki
Szersze wazkie...

Ten mankiety
Sztylety,
Ow szlarczki
Snuróweczki
I wstążeczki
I listeczki
I kwiateczki
Naszyjniki
I kulczyki
Broszki złote
I klejnoty
Z kamkami.

Fryzery
Tną swe sztuki
Czy Widery
Czy Kukuki
Urabiają
I sprzedają
Oudze włosy:
Pukle, Kosy
Wzięte z głowy
Białogłowy,
Która w grobie
Leży sobie
Lub w zakonie
Marnie tonie,
Nie ściąć wcale,
Że na bale
Ję warkocze
Inna wtoczy!
I apteki

Nie na leki
Odbyt mają
Lecz sprzedają
Blanche, różę
Padła duże,
Pachnidelka
I mydelka —
Oudotworne
I wyborne
Jakieś wody
Dla nrody!

W całym mieście
Sklepów dwieście:
Wszędzie rojno

Bo też strojno
W takim czasie
Ubrać trza się
A od Etki
Jak z kaletki

„Idź do banku,
Mój kochanku,
Zegarek nieś
Pieniądz przynieś,
Pierścieni pięć

Frak zapina
Ale mina,
Zawsze szparka
W myśli błogię,
Że też bogi
Zięcia dadzą
I zaradzą,
Aby w przyszłym
Karnawale
Już z zegarkiem
Szedł na bale,

Na wolowej

Nawet skórze
Choć sążniowej
Szereg duży
Nie spisałbym
Choć chęć miałbym:
Kwaśnych sosów
Długich nosów,
Fantów krocie,
Które w pocie
Kochankowie
I mężowie
Znoszą w banki
Dla hulanki

W zapust żyją,

Nawet tyją —
A w poście co?
Byndzę biją!

Z. M.



Biorą panie
Na ubranie;
Pieniądz płynie
W żydów skrzynio
Żyd się śmieje:
„Gój szaleje!“

Prawda szczera,
Że umiera
Grosz ostatni
W takiej matni,
Be matule,
Gdy w szkatule
Wiater dzwoni,
Dla swych doni
Mężów dręczą
Płacząc męczą:

Darmo leży
Nim weźmie zięć,
Niech bank bierze;
Przecież trzeba
Widzą nieba!“
A biedny mąż
Wadychając wciąż
Żonę w łapkę
Omok! Za czapkę
I w poranku
Rzuci do banku,
By wieczorem
Całym chórem
Być na balu.
Pełen żalu
Bez zegarka

Wieczory niedzielne u starego Macieja.

Kiedy stary Wojciech to mówił wspomnienie owych minionych chwil, ciężkie westchnienie wyrwało z jego piersi. Smutek osiadł na twarzy i już się zdawało, że dalej opowiadać nie będzie wstanie.

Naraz smutek ustąpił, twarz się powoli wypogadzała a stary Wojciech tak dalej opowiadał:

O ciężkich, moje dzieci będą wam prawili czasach,

o czasach, na wspomnienie których krew w żyłach zastęga:

O! chwila ta nigdy nie wyjdzie mi z pamięci. Pamiętam ją tak dobrze, jakby się to dziś stało.

Dzień był pochmurny, na dworze szumiała zawiecha ze śniegiem, żeś na krok przed sobą nie zobaczył jednym słowem: psa by na podwórzu nie wygnał. Ludzie i zwierzęta schowały się pod strzechę.

Ku wieczorowi wiatr ustał, niebo się wypogodziło a jaki taki brnął po pas w śnieg, aby się dostać do dworu. Był bowiem u naszych państwa zwyczaj, że

pani co wieczór cały dwór zwoływała na wspólne modlitwy. Jak tylko słoneczko zajdzie i robota się skończy, już dzwoneczek umieszczony w środku dziedzińca daje znać, a ze wszystkich stron ściga się czeladź dworska do wielkiej izby, gdzie w małym ołtarzyku przenajświętsza Paniątka Częstochowska ustawiona była.

Gdy się wszyscy zjedzą, przychodzi pani, pan, dzieci a nawet gdy był kto z gości, nie mógł się od ego wymówić. Pani odmawia litanie a my wtórujemy. Nareszcie skończyło się nabożeństwo a tu jeżeli kto ma jakiś interes lub potrzebę śmiało objawia je państwu a ci wysłuchawszy prośby i rozważywszy sprawę, załatwiają takową.

Z początku dużo było kłopotu, za nim się to wiara do tych modlitw wieczornych wdrożyła. Osobliwie parobczakom to niesmakowało. Nie jeden by poszedł do karczmy, ale jak raz i drugi przyszedł to później byłbyś go i kijem nicodegnał, i karą było największą, jeżeli który kilka dni do wspólnych tych modłów nie mógł należeć.

Nie dziwota, że i dziś pomimo, że dobrze w śnieg po kolona iść trzeba było, co żyło zebrało się we dworze.

Wnet nadeszła i pani a z nią reszta dworu,

Jaki taki skłonił się do kolan, gdy tym czasem pani skinieniem głowy pozdrowiła zebranych, a przystąpiwszy do ołtarzyka uklękła i śpiewnym swym głosem zaczęła litanie do Matki Boskiej.

Wtedy nie uważałem, ale później kiedym nadtem co się potem stało rozmyślał, to sobie przypomniałem, że głos pani był rzewniejszy jak zwykle i tak smutny, że jeszcze trochę a byłby się w płacz zamienił.

Właśnie zaczęła pani „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata,” gdy na dworze dał się słyszeć dzwonek.

Niepodobieństwo jazdy po takiej zawierusze było tak oczywiste, że nikomu nie przyszło na myśl nawet, aby to mógł być dzwonek od sani i dawał znać że ktoś obcy pod strzechę zagościł. Wtem kiedy zgromadzona gromadka wyrzekła zmiłuj się nad nami, dzwon odezwał się powtórnie, ale tak jakoś dziwno chrapliwie, jak gdyby kto jakimś ostrem narzędziem po szkle pociągnął. Zgromadzenie przerażone tem dziwnym dźwiękiem umilkło, a w tem jeszcze kilka razy dał się słyszeć głos dzwonka. Nie było wątpliwości kogoś pan Bóg pod strzechę jako gościa sprowadził.

Za nim jeszcze kto mógł skoczyć na ganek, ja co zwykle kłęzałem koło samych drzwi zerwałem się i wyszedłem na podwórze, by zobaczyć co to za gość co nie bojąc się złej drogi, zawiei i śniego zawitał do nas.

Nie długo czekałem na zaspokojenie mojej ciekawości. Gdym bowiem stanął na ganku, zobaczyłem przed samem gankiem małe jednokonne saneczki. Na nich siedział mężczyzna owinięty we futro. Czapka zakrywała prawie całą twarz a tylko dwoje oczów świeciło z pod niej, jakby para gwiazd. Na rękach miał grube łosiowe rękawice a w ręku zamiast batoga pistolet dwururny.

Nie zląkł ze sani a gdym go w imieniu państwa zapraszał do środka ofiarując się zaprowadzić konia do stajni, nieznajomy podał mi jakiś papier i kazał oddać samemu panu.

Ręka mi drżała, gdym miał brać to pismo lecz się zbliżyłem do sanek. Wiatr, który teraz trochę się zerwał odsunął koinierz od futra.

Nieznajomy był owym wieśniakiem, którego ra-

zem z panieciem Jędrusiem ze spaceru przyprowadził, ale dziś wyglądał daleko starszej i znać było na nim ślady przeżytych cierpień.

Ucieszony tem spotkaniem chciałem go zatrzymać ale w tej chwili usłyszałem tylko świst, koń ruszył z kopyta a przedemną nie było nic jak tylko tuman śniegu. Gdyby nie kartka, którą w ręku trzymałem byłbym wszystko uważał za sen.

(C. d. n.)

Kilka uwag o nowej kaplicy PP. Urszulanek w Tarnowie.

Podał Włodzimierz D.

(Dokończenie.)

Zwątpiwszy może już przyszło o dalszym rozwoju kościelnej sztuki, gdyby jaką głębszą podstawę i zapewnione powodzenie miały podobne zdania ogółu i oceny budynków kościelnych jak to wyżej widzieliśmy. Na szczęście tak nie jest, a dowodem niemieckie świątynie restaurujące się lub nawet restauracya ołtarza wielkiego u P. Maryi w Krakowie i niedawno dokonane malowania ścienne presbyteryum wspaniałego kościoła O. O. Dominikanów tamże. Uderzano zrazu na zbytnią, niby to jaskrawość tych dzieł sztuki, co szczególnie w pierwszym wypadku (u ołtarza P. Maryi) nie było bardzo sprawiedliwe, choć krytyka wyszła z pod pióra takiej znakomitości jak L. Siemiński; więcej słuszności mogła mieć w drugim wypadku za sobą tak zwana opinia publiczna, bo okna kościelne nie były dostatecznie przyćmione, a więc jaskrawość mogła rzeczywiście wystąpić. I krytycy i opinia publiczna zostały jednak zwyciężone niezaprzeczonym majestatem i potęgą prawdziwej sztuki, która geniuszem artysty przywołana do życia z odległych wieków, u tych samych swych krytyków okrzyk uwielbienia wydobywała po upływie niespełna pół roku. Potęga owęj średniowiecznej polichromii była nadto tak wielką, że świątynię O. O. Dominikanów uważają Krakowianie za najpiękniejszy i najczystszy klejnot architektury swego miasta, stojący na wysokości wymagań sztuki, jej zdobyczy na polu historycznem i mogący śmiało iść w zawody z monumentalnymi świątyniami zagranicy. To też gdy niedawno arcyksiążę Karol Ludwik zwiedzał nasz kraj, nie inną ale wspomnianą okazał mu Kraków świątynię, jakby chcąc zaprzeczyć tym głośnym twierdzeniom Niemców, że się na sztuce nie znamy.

Ale rozważmy czy owa tak chwalona a modna zasada „pojedyności” z innych powodów nie jest do odrzucenia. Oto takiej właśnie bezdusznosci, bezzasadności częściej a oszczędniej prostocie hołduje protestantyzm, a stąd ta konsekwencya, że luteranizm stał się wrogiem wszel-

kiej w ogóle sztuki. Podnieśli to estetycy i udowodnili niezbicie, tak, że protestantyzm widział się zmuszonym bronić się i ratuje się ustępstwami na niekorzyść kardynałnych swych zasad, jak to naocznie oglądamy w tak zwaną katedrze Berlińskiej.

Wszystko to przecież nie uprawnia nikogo do twierdzenia, jakoby prostota nie dała się pogodzić z katolicyzmem, owszem pożądana jest ona nawet poniekąd, bo chroni kościoły katolickie od tak wstrętnych ozdób i przeciwnych zasadom estetyki do jakich zaliczamy: firanki ołtarzowe, wstążki, paciorki itp. świecidełka. Jeżeli zaś sztuka katolicka użyć jest zniewolona wybitniejszej prostoty, to będzie ona taką, jaką widzimy np. w kaplicy św. Leonarda na Wawelu: majestatem swego piękna ocale niebo wyższą od bezdusznosci protestanckiej.

Przekonaliśmy się więc, że jakkolwiek architekt usiłował kaplicę P. P. Urszulanek przynajmniej zbliżyć do ideału sztuki, nie zaś tylko realnym odpowiedzieć wymaganiom, za co mu się prawdziwe uznanie należy, mając jednakże do walczenia z niekorzystnymi sztuce tradycjami zakonnymi, brakiem miejsca, funduszu i konstrukcją, zmuszony nadto liczyć się z nieuzasadnioną krytyką publiczności, nie zupełnie zdołał odpowiedzieć wymaganiom sztuki.

Braki wskazane nie trudno jednak w większej części uchylić a tak, nową świątynią zbliżyć bardziej do ideału sztuki niż to jej stan obecny dozwala. W interesie zatem piękna, ozdoby naszego miasta i powagi sztuki religijnej wypadałoby życzyć usilnie, aby zgromadzenie zakonne wykończając niejako swoją kaplicę postępować zechciało drogą prawdziwie racjonalną uchylając wytknięte tu błędy zaprowadzeniem zmian koniecznych w kolorystyce ołtarza, ścian i okien, nie dawały obcym turystom jednego więcej powodu do oskarżania nas, jakobyśmy się na sztuce nie znali.

Nadestane.

Rady dla rzemieślników.

przyczyny ich niedoli, środki podźwignienia.

Któż z warstw naszego społeczeństwa tyle cierpi niedostatku, jak klasa rzemieślników? Zaiście żadna. Słyszymy nieraz o niedostatku za granicą najczęściej w Anglii, ale ów niedostatek pochodzi nieraz z obfitości rąk do pracy, a stąd niskie ceny zarobku. Dlaczego zaś u nas tak wielka ilość cierpi niedolę, kiedy powszechnie utyskują na brak rąk do pracy, to zaiście dziwne! W mojej rozprawie przedsięwziętem rozwiązać dwa zadania: Pierwsze: dlaczego bardzo wielu majstrów nawet niedzisiejszych pędzi biędę z dnia na dzień, będąc w zależności od lichwiarzy? po drugie: dlaczego nasi rzemieślnicy, utrzymujący tak ważne stanowisko w społeczeństwie, nie doznają tyle poważania, o ile na takowe zasługiwaćby powinni?

Najpierwszym i najgłówniejszym powodem niedostatku pomiędzy rękodzielnikami jest brak oświaty, brak życia umysłowego, bez którego nie jesteśmy w stanie spełnić posłannictwa na ziemi, ani osiągnąć zamierzonego celu.

Człowiek bez wykształcenia, spełnia wszystko na niego włożone, o tyle, o ile rozum jego pojąć może. Zasad religii albo nie zna wcale, albo takowe nie rozumie, przeto skłonny jest więcej do złego aniżeli do dobrego. Człowiek bez oświaty, uważa wszelki postęp za największą niedorzeczność, i dokłada wszelkiego starania, by podwładni jego nie byli światlejsi od niego. Że tak się dzieje w rzeczywistości mamy na to liczne przykłady. Nie od rzeczy będzie, gdy niektóre tutaj przytoczę: „Ojciec szukając dla syna swego terminu, wstąpił do pewnego rękodzielnika, chcąc u niego chłopca pomieścić. Z początku przystał majster, jednak ojciec na swe nieszczęście wyrzekł, iż chłopak jego już 3 klasę gimnazjalną ukończył. Ów majster wtedy powstawszy, uklonił się uprzejmie owemu ojcu i w te odezwał się słowa: „szkoda tej nauki, my wolimy brać do rzemiosła, prosto ze wsi albo tak po ukończeniu 4tej klasy normalnej, kiedy chłopak jeszcze niewiele umie.“ Na chłopaka w terminie nie uważa ani majster, ani czeladź; terminator rozwija się sam, jak owa dziewczka stojąca przy drodze. Rano ani wieczór nie zmówi pacierza, nie chodzi w niedzielę na nabożeństwo na naukę i do spowiedzi; między rzemieślnikami niektórymi istnieje zdanie: „zbyt nabożnym źle się zwykle dzieje.“ Jakże płaskie pojęcie! Każdy oświecony majster nie odezwałby się podobnie, a i nie pozwoliłby na nadużycia jakich zwykle dopuszcza się czeladź względem chłopców; sam wykształcony zachęca swych podwładnych, aby umysł swój wzbogacali nauką i ułatwia im to w najrozmaitszy sposób.

Z publicznością umie zachować swą godność, przez co zyskuje szacunek i zaufanie; mając naukę stara się iść z postępem czasu, zaprowadza w swoim warsztacie wszelkie ulepszenia, przez co nabiera coraz więcej wiary i dorabia się powoli fortuny.

Przeciwnie rzecz się ma z rękodzielnikiem niewykształconym. W obejściu jest albo gburowatym lub młomownym, albo niekiedy wielomownym bez sensu. Podwładnych nie zbuduje, nie wiele dba o postęp, a uczeń wyszedłszy z takiego warsztatu, zawiesiwszy konfederatkę na ucho lewe z cygarem w ustach dopiero nie nie umie. Takiemu majstrowi rzadko kto powierzy robotę, bo jej dokładnie nie wykona, a nie mając z czego żyć ucieka się do lichwiarzy a wtenczas przepadł. Oto jest pewien niedoli pomiędzy rękodzielnikami, wpływający z braku oświaty.

Czeladnika, któryby odebrał chociażby tylko początkowe wykształcenie niezawodnie w chwilach wolnych od pracy zastaniemy z książką w ręku. W niedzielę uczęszcza na nabożeństwo, popołudniu znajdziemy go w Stowarzyszeniu, a tam z pewnością przepędza czas na czytaniu rozmaitych dzienników, lub pożytecznych książek; słowem wszędzie mu mile czas schodzi.

Przypatrzmy się teraz odwrotnej stronie medalu. Czeladnik bez oświaty nie weźmie książki do ręki, bo albo czytać nie umie, albo jeżeli umiał kiedy, to przez czas terminu zapominał, gdyż nie chodził na nauki niedzielne. Czeladnik bez wykształcenia nie wejdzie w grono wykształconych, gdyż się tam znaleźć nie potrafi, unika więc światłych, a szuka sobie równych, których znachodzi, albo w gospodach albo w szyneczkach wódczanych. Tu jeżeli ma grosz to się rezon znajdzie, a

zasem przy rezonie bijatyka i koza. Przechulał cały tygodniowy zarobek w niedzielę. W poniedziałek (Blau Montag) robić nie można—to święto próżniaków, szuka kolegów, zalewa robaka, zeszedł dzień jeden a we wtorek nie chce się iść do pracy ale musi; siada, ale robota nie idzie, bo głodny; majster napróżd dać nie chce gdyż wybrał już prawie na tydzień N.T. trzeba się udać, gdzie? ha! do lichwiarza. Jeżeli czeladnik nie żonaty, to chwała Bogu, ale biada żonatemu skoro wpadnie w taką matnię. Oprócz braku oświaty, przyczynia się też często do niedostatku brak chęci do pracy i brak oszczędności.

Trafiają się niekiedy tacy rękodzielnicy, którzy pracują z konieczności, by tylko zarobić na codzienne życie, a nie pomyślał o tem, że należałoby zaoszczędzić coś i na nieprzewidziane wypadki. Póki zdrowie służy, należy Bogu dziękować i pracować nie cztery dni w tygodniu, ale sześć a grosz zarobiony oszczędzać choćby tylko po kilka centów, gdyż mówi przysłowie „ziarnko do ziarnka a będzie miarka“. A na co to są ustanowione kasy oszczędności i inne instytucje jak np. Stowarzyszenia rękodzielników? Majstrom przyczynia się do niedostatku brak dozoru w warsztacie. Nie jeden całe dnie przepędza po za domem, niepomny na przysłowia: „jak nie dołożysz okiem, to dołożysz workiem“ albo „pańskie oko konia tuczy“. Warsztat zdaje na ludzi, ci nieraz chcieliby pracować ale nie mając wydzielonej pracy rozchodzą się a warsztat próżny, robota zalega, a majster traci ufnosć publiczności i bankrutuje, teraz następuje rozpacz, zapija się a rodzina w największej nędzy spędza resztki lat.

Cechy nie bardzo wpływają dobrze na majstrów dlatego też rządy francuski, niemiecki i pruski poznały takowe. I jakim cel tychże? zaiste odgadnąć trudno. Nie będę na teraz jeszcze wyświadczał, co to są cechy? Opis tychże zostawiam na później.

Z tego co się dotąd powiedziało, widzimy, iż najpierwszym i najskuteczniejszym środkiem do podniesienia dobrobytu rękodzielników jest oświata; ona czyni człowieka użytecznym i prawym obywatelem. Francuski pisarz Bandrillart tak pisze w tym względzie: „Nauka podnosi moralność i ekonomię. Pod względem moralnym nadaje samodzielności myśli; praca uszlachetnia człowieka i obznajmia z pięknem i dobrem, a budząc uczucia, podnosząc wyobraźnię, podnosi cnoty i uświęca powagę obowiązku. Nauka zapewnia dobrobyt i strzeże od ubóstwa. Umiejący czytać sam pocznę się kształcić, a znużenie i lenistwo nie popchną go do nalogów i rozpacz. Prawdziwa nauka to promień siły, który oświeca i wzmacnia; to potęga podnosząca zdolności i czyniąca z nich narzędzie odpowiedniej produkcji; prawdziwa nauka uczucia, otwiera wrota postępu i wzbudza w ogóle zamiłowanie do pracy. Kto posiada naukę, ten jest pracowitym i moralnym, bo chce z niej największe wyciągnąć korzyści. Zapewnienie dobrobytu, ugruntowanie zasad moralnych, i zmniejszenie liczby występków, są dobroczynnym nauki następstwem. Wykształcony rzemieślnik, produkuje najwięcej i najlepiej się prowadzi. Niewiedomość płodzi zbrodnie, nauka przeciwnie nie pozwala się im rozwijać. Słowem, jest ona dla człowieka źródłem pracy, moralnego szczęścia i silną strażą cnoty“.

I do kogóż te słowa owego pisarza? oto do młodzieży. Nie zaniedbujcie żadnego możliwego środka, żadnej sposobności, czembyście swój umysł wzbogacić mogli. Pamiętajcie „Kto za młodu próżnuje, ten na starość głód uczuje“. Cała wasza przyszłość zależy od tego jak użyjecie waszych młodych lat. A na was pa-

nowie majstrowie, cięży obowiązek byście czuwali pilnie nad wychowancami wam powierzonymi. Wy macie z nich zrobić przyszłych majstrów, przyszłych obywateli kraju. Pamiętajcie dobrze, że ci wasi uczniowie, to są młode latorośle, które od was dobrze pokierowane stać się mogą dobrą drzewiną, dobry owoc rodzącą. Na was, Panowie majstrowie, polega bardzo wiele, a kiedyś z włodarstwa waszego będziecie musieli zdać rachunek przed obliczem Stwórcy.

Wasi wychowawcy; nie czują dziś potrzeby kształcenia swego umysłu, lecz wy panowie majstrowie wspierci długoletniem doświadczeniem pojmujecie jak niezbędną jest nauka.

Jeżeli który z was za młodu nie odebrał wykształcenia, sam to przyzna, iż nieraz brak tegoż dotkliwie uczuwać się daje. Dlaczegoż więc wyrządzać macie krzywdę waszej czeladzi? nie dbając nato, czy znają oni pierwsze zasady religii, czy umieją czytać, pisać i rachować.

Posyłacie waszych uczniów do szkół niedzielnych, ale czy zwróćcie uwagę, czyli oni do takowych regularnie uczęszczają? Czy zadałście sobie tyle trudu, aby ich kazać wypytac choćby raz w miesiąc lub na kwartał, czy postępują w naukach. Czy prenumerujecie jakieś piśmko dla nich. A przecież z przyjęciem ucznia do terminu przyjęliście obowiązek na siebie zastępować rodziców. Z ubolewaniem wyznać muszę, iż uczeń w terminie to posługuje: on zamiast czytać lub pisać w wolnych chwilach, piastuje dzieci lub pierze drze.

Pożądaniem i pożytecznem by było, aby każdy wyzwalający się na czeladnika odbył ścisły egzamin nie przed ludźmi, którzy małą wagę przypisują do nauki, ale przed osobami wybranymi w tym celu.

Kronika.

Dżuma. Straszna choroba, przerażająca ludzkość od wieków, zwana dżumą, pozostała do dziś zagadką dla rozumu i nauki.

Kolebką dżumy był i jest daleki wschód Azji i Afryka. Tam choroba ta mniej straszna, gdyż częstsza, w Europie pojawia się niemal co wieku, lecz przyniesiona bywa ze Wschodu. I dziś przerażające skutki jej siły uczuwa Wschód.

Nauka tedy zna jej siłę, lecz nie zna przyczyn. Podaje zaś, jako jedyny środek zatamowania zarazy, przerwanie wszelkiej styczności ze światem zadżumionych.

Thucydides opisujący dżumę w trzecim roku wojny peloponezkiej na 430 lat przed Chrystusem, mówi, że zaraza ta zabijała ludzi zwykle już dnia siódmego.

W 72 lat po narodzeniu Chrystusa opisał Józef zarazę morową w obleganej Jerozolimie. W Rzymie panowała zaraza w 77 roku pod Wespazjanem i w 170 pod Markiem Aureliuszem, i wówczas dotknęła śmiertelną swoją dłoń prawie całą Europę i Azję. Pod Gallianusem w r. 262 porwała dżuma w samym Rzymie w jednym dniu około 5.000 ofiar.

W roku 544 pod Justynianem, panowała w Konstantynopolu tak straszna zaraza, że 1.000 grabarzy było za mało do uprzątnienia i chowania zwłok ludzi dotkniętych dżumą. Do północnej Europy przynieśli ją wojownicy niemieccy z Włoch,